Jan Tomaszewski

Wspomnienia z obozu jenieckiego w Grossborn i innych obozów w czasie II wojny światowej.

CHOSZCZNO 24.02.1987r.



Wspomnienia z obozu jenieckiego w Grossborn
- i innych obozów w czasie II wojny światowej

. . . . .

Wielka siła piękna polskich kolęd odśpiewanych w czasie nabożeństwa przez jeńców wojennych tragicznego Września, w dniu 25 grudnia 1939 roku w świetlicy obozowej w Grossborn - dla potomnych - podaje i spisuje czynny uczestnik tegoż nabożeństwa, były jeniec wojenny, Jan Tomaszewski z Choszczna.

W starczym wieku czynię to - bom 73 lata liczącym i bardzo schorowanym na różne i niewygodne dla życia choroby: 37 lat cukrzycy z podawaniem sobie dwa razy dziennie insuliny, przebytej żółtaczki zakaźnej /wszczepiennej / i dwóch przebytych operacji obu nóg z powodu miażdzycy i złej pracy naczyń. Ale mimo tego wszystkiego - siłą woli chwytam znów, za to moje wyliniałe pióro i spisuje nim t o ostatnie, końcowe me wspomnienia z różnych przejść i przeżyć osobistych, w czasie ostatniej wojny poczynając, od końcowych dni sierpnia do polskiego tragicznego WRZESNIA 1939 roku...

Idzie mi to ciężko, bardzo opornie, bo C Z A S jaki minął, zatarł najważniejsze chyba szczegóły - stępił je, i zubożał moje osobiste odczucia... Modlę się więc w skrytości mego ducha do Wszechmocnego Boga i Natury o łaski przy oddawaniu tej prawdy w tym moim pisanym słowie: bom przecież ani pisarz żaden ani tłumacz uczony, a temat jaki opisuję, jest "przebogaty" - i tyleż samo i nędzny... A dotyczy on, nietylko polskich jeńców wojennych Września, ale i innych nacji np. południowych Słowian Serbów i Chorwatów, Ukraińców, Rosjan i Francuzów a także i Niemców, tych przychylnych nam, Polakom...

Ale w tym miejscu pragnę się zastrzec, że to co czynię, na tym białym papierze w słowach, to nie dla siebie, i rozgłosu mojej skromnej osoby, lecz przeciwnie, całkiem z jakiejś wewnętrznej głębi i potrzeby serca mego - dla potomności - by ona, nie fałszowała tej prawdy, którą z ogromnym wysiłkiem kreślę, lecz, szczerze uwierzyła w to, cośmy przeszli i przeżyli w różnych obozach i w różnych miejscach jest prawdą, i faktem niepodważalnym. Zresztą sama historia ma to do siebie, że czy rychlej czy później - prawda, jak oliwa sama wypłynie na wierzch i będzie dostępna dla wszystkich...

Lecz czas - abym się przedstawił - kim jestem. Urodziłem się w rodzinie, jak to ludzie określają, robotniczo-chłopskiej i bardzo biednej: dnia 25.10.1914 roku, czyliw trzecim miesiącu trwającej już

Pierwszej wojny światowej we wsi Wrąbczyn blisko miasteczka Zagórowa, i tyleż samo w linii prostej,pięknego klasztoru w Lądzie i Lądku nad Wartą w byłym powiecie słupeckim. Obszar ten wówczas był pod zaborem rosyjskim i podlegał województwu Łódzkiemu. Dopiero w latach trzydziestych,włączono go do województwa poznańskiego. Urodziłem się już jako drugi syn Antoniego i Magdaleny z Gębowskich. Nasz dobytek majętny - był bardzo lichy. Mała,gliniana chata przy dwóch błotnistych drogach, mała stodółeczka z obórką pod wspólnym jednym dachem - na jedną krowinę i do tego 1.5 morgi lichej ziemi rozbitej na dwóch poletkach podłóżnych - a przy domu niedaleko i mały ogród z chrzanem... Rodzice moi nie mieli żadnych ukończonych szkół ani nauk umieli się tylko podpisać i czytali,sylabilizując półgłosem ze swych książeczek do nabożeństwa. Były one drukowane większą czcionką. Oboje byli wyznania rzymsko-katolickiego,i w tej wierze,starali się przykładnie nas wychować. To też w dalszej, końcowej części mych rozważań,wspomnę Ich, w paru strofach rymowanego słowa, które to, na różnych papierach fruwających na polach - od różnych nawozów i brudów - spisałem je w ukryciu... w Rychnowie /wówczas Richnow/, blisko Barlinka w czasie niewolniczej pracy na roli...

Szkołę ludowo-powszechną,rozpocząłem na specjalnej tabliczce z rysikiem,w wiosce rodzinnej, ale ukończyłem ją w latach 1928/29 w Swadzimiu powiat Poznań, gdzie moi rodzice przeprowadzili się w 1927 roku całą siedmioosobową rodziną to jest rodzice, trzech braci i dwie siostry. Z tą młodszą właśnie razem zamieszkuję obecnie. Wówczas miał osiem miesięcy. Opiekuje się mną, a także i jej dzieci,to jest siostrzenica i siostrzeniec którzy zamieszkują tutaj i są lekarzami w Choszcznie. Rodzice moi, w Swadzimiu i w Sadach pracowali jako robotnicy rolni sezonowi - a majętności te łącznie i z Przeźmierowem były własnością zamożnego dziedzica, byłego ministra rolnictwa RP,Leona Plucińskiego. Ojciec mój,dostarczał tę sezonową siłę roboczą ze stron ojczystych,bowiem o pracę wtedy, było bardzo trudno. Najpierw mieszkaliśmy w Sadach w dużym i starym gościńcu czyli w byłym zajeździe przy głównej drodze w kierunku na Berlin... Teraz żyliśmy wygodnie i dostatnio. Ja, zaraz po ukończeniu szkoły powszechnej podjąłem dalszą naukę w Zakładzie Malarskim,bardzo znanego wówczas,mistrza malarskiego, Antoniego Kazimierczyka przy ul.Franciszka Ratajczaka w Poznaniu. A w podjęciu tej mojej nauki - pośredniczył wcale nie byle kto - bo sam Pan Generał, DOWBÓR - MUŚNICKI Józef,/widnieje w encyklopedii powszechnej/ który pewnego dnia,czekając na autobus,poczuł nagłe pragnienie i "wpad do nas - czyli do starego żajazdu... Mama moja, poczęstowała go słodkim mlekiem z cukrem, bo tak sobie życzył. Ja, gapiłem się na niego i podziwiałem jego bródkę i prezentację. W pewnej chwili, moja mama,pokazała mu wszystkie moje malowidła na ścianach i rysunki i pytała zatro-

skana co ma ze mną zrobić, gdzie mnie posłać i do jakiej szkoły? Pamiętam,że Pan generał dał mamie adres jednego artysty malarza, który zamieszkiwał w Lusowie, tóż obok dóbr generała, to jest w Batorowie. Majątek ten generał otrzymał od rządu polskiego za wielki udział w walkach o odzyskanie niepodległości Polski po stupiędziesięciu latach niewoli...

Dzisiaj spoczywają ná jednym cmentarzu w Lusowie. Matka moja wyprzedziła generała - zmarła w wieku 41 lat,dnia 12.XI.1932, a generał, zmárł 28.X.1937 - leżą blisko siebie przy głównym ganku od káplicy cmentarnej w lewo. Ludność Batorowa i Lusowa postawiła generałowi zasłużonemu dla Ojczyzny duży Krzyż, ştoi po dźień dzisiejszy.

Naukę moją terminowałem przez cztery lata - uczęszczałem także i skończyłem Szkołę Doksztalcająco Zawodową uzyskując świadectwo ukończenia. Naukę zaś ukończyłem w 1934 roku uzyskując z Izby Rzemieślniczej w Poznaniu dyplom czeladniczy z wynikiem bardzo dobrym - malarza dekoracyjnego - W czasie tej mej nauki, Zgromadzenie Braci Zmartwychwstańców przy ul. Dolna Wilda w Poznaniu wybudowało nowy, piękny kościół pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego i właśnie nasz Zakład Malarski go wymalował - łącznie z wszelkimi złoceniami różnych elementów np. piękne rozety na suficie i inne. Zatrudniał on w tym czasie kilku czeladników, mistrzów i artystów np.Łuczaka z Poznania oraz nas sześciu uczniów.

Poza wspomnianem kościołem wildeckim, mistrz Antoni Kazimierczyk, wykonywał wówczas i inne prace malarskie w wielu różnych Instytucjach Kościelnych i Zgromadzeniach. Na przykład w Szpitalu sióstr Elżbietanek przy ul Łąkowej z piękną kaplicą i nowiciatem . Jak mi wiadomo siostry Elżbietanki miały też swój Zakład w Pokrzywnie k/Poznania. Kilka lat temu wyczytałem w jakiejś prasie, że w czasie okupacji, Niemcy produkowali tam jakąś tajemniczą broń. Malowałem także w Domach Starców, w Sierocińcach, Ochronkach itp. Również w Seminarium Duchownym przy ul Podgórze , w pałacyku biskupa Dymka i w Pałacu Arcybiskupim obok katedry poznańskiej w którym wówczas rezydował Arcybiskup,August Hlond. Malowałem w jego gabinecie dokonując jakichś poprawek - pamiętam,nad biurkiem wisiał bardzo ładnej roboty acz skromny - portret Jego matki. Po wyzwoleniu i powrotu Ziem Zachodnich do Polski znów Go zobaczę - Kardynał Hlond, przybył pewnego dnia do Gorzowa a z tamtąd i do naszego kościoła stojącego w Barlinku przy Rynku. Powitany został przez wiernych bardzo uroczyście i paradnie - a nasze chóry mieszane,połączyły się, to jest barlinecka "HALKA" którego to chóru byłem współzałożycielem i sekretarzem od powstania tj. 20 marca 1947 roku,a prowadził go dyrygent ś.p.Jan Szwaradzki i chóru kościelnego przez księdza wikarego, barlineckiej

parafii prowadzonym. W ciągu parę wieczorów,"wykuliśmy" na 6 głosów piękny i potężnie brzmiący Hymn na powitanie Najwyższego Dostojnika Kościoła rzymsko katolickiego: "Ex ce sa cerdos....." To brzmienie pięknej harmonii hymnu,po dzień dzisiejszy jest w moim uchu i sercu - śpiewałem pierwszym barytonem.

Znam także i widziałe,jak dyrygował znany i głośny w owym czasie,Ksiądz Gieburowski, który założył przy poznańskiej katedrze czwarty w świecie chór chłopięcy oraz klerykalny. Malowałem także i rozmawiałem z organistą poznańskiej katedry - Pawlakiem, infuatem /?/... i wielu, wielu innymi Dostojnikami Kościoła, zamieszkałymi na tz. Ostrowiu Tumskim w Poznaniu. Także jakieś naprawy i malowania dokonywałem z moim wiernym mistrzem Zalewskim w kościółku historycznym NMP blisko katedry. W katedrze w Poznaniu przyjmowałem też chrzest bierzmowania.

W latach 1936 - 38 odbywałem czynną służbę wojskową w 5 pułku lotniczym w Lidzie K/Wilna i po zwolnieniu do cywila /po wypadkach na Zaolziu/ powróciłem do Poznania na zaproszenie Państwa,Gertrudy i Ludwika Dolnych bowiem z ich synem Czesławem, przyjaźniłem się - razem chodziliśmy do tej samej Szkoły Doksztalcająco Zawodowej z tym, że Czesław uczył się malarstwa firmowego w prywatnej Emalierni inż. Leona Bitnera /chyba ojca znanej naszej tancerki Barbary Bitnerówny/.To właśnie dzięki zacnej,rodzinie Dolnych a zwłaszcza Czesława,zdobyłem w tym trudnym czasie pracę zarobkową,ale szybko musiałem się przestawić, na malarza firmowego. Zaczynałem od wycinania szabloników z pismem na różne zamówione tabliczki emaliowane a potem, zostałem kierownikiem działu przy wykonawstwie tablic i znaków drogowych w/g państwowych zamówień otrzymanych z różnych województ z całej Polski.

Dnia 26 sierpnia powracając z pracy zastałem w domu kartę mobilizacyjną do stawienia się w 3 pułku lotniczym w Poznaniu Ławicy... Akurat w tym dniu byłem umówiony z koleżanką z Towarzystwa Turystycznego, Heleną Ratajówną... czekała na mnie przy Rynku Wildeckim ubrana w piękny letni kostim ze srebrnym lisem fantazyjnie zawieszonym na ramieniu. Odprowadziła mnie do końca pętli tramwajowej ulicy Dąbrowskiego...W 1942 w niewoli otrzymam w Rychnowie od niej fotografię z jej podobizną... "na rozsłonecznienie ciężkich dni niewoli..." /dołączam ją ponieważ w 1945 w/w ofiarnie włączyła się do ratowania rannych przy zdobywaniu Poznania, a zwłaszcza, poznańskiej Cytadeli. Rozmawiałem z nią o tym po wyzwoleniu. Dobroć jej serca, a także uroda,kojąco działały na rannych żołnierzy./

Pierwszego września 3 pułk lotniczy był w południe kilka

razy bombardowany. Poza bombowcami lotem koszącym,zniżały się myśliwce i "siekały" w nas pociskami z karabinu maszynowego zbierając trupie zniwo... Kryliśmy za co się dało.. Ale tu gwoli prawdy muszę ze wstydem podać, że nie byliśmy wcale uzbrojeni i przygotowani na contrę do chwili nalotu... Nie wydano nam jeszcze żadnej broni ani amunicji - i to celowo !!!! Dopiero sami widząc jawną zdradę różnymi łomami żelaznymi i sztabami pootwieraliśmy magazyny z bronią i amunicją. W popłochu wydawano ją w galopie z krzykami " My chcemy walczyć ! - dajcie nam broń... Niestety.. Była to tylko "farsa", a my, statystami w tym wcześniej już wyrezyserowanym spektaklu wojennego teatru. Nasz dowódca 3 pułku lotniczego - pułkownik X, godzinę przed pierwszym nalotem zwiał piękną limuzyną w nieznane... Byliśmy szczęśliwi, że cało udało się nam dostać do lasku w Strzeszynku. Byliśmy zdenerwowani i przeklinaliśmy w duchu tych, co nas zrobili w konia - bez dowództwa, bez jadła, bez niczego. Po jakichś tam głośnych naradach / w tym naszym "sztabie"/ dochodzących do nas z daleka postanowiono nas ewakuować. Przy łunach pożarów miasta Poznania kroczyliśmy wieczorem przez ulice: Małe i Wielkie Garbary, Most chwaliszewski, Śródkę aż do Swarzędza. Tam gdzieś na bocznej rampie po ciemku załadowano nas do bydlęcych wagonów. Rozgoryczony i zmachany ległem jak kamień i to na coś miekkiego w przedziale... Był już ranek,kiedy zbudziłem się na postoju w mieście Gnieźnie. Poraz pierwszy widziałem z daleka miasto - niektórzy ludzie - mieszkańcy Gniezna, kleili na szyby okienne, paski z gazet... bojąc się nalotów, a ja spałem smacznie na kupie końskiego gnoju. Dalszą trasa wiodła przez Konin, Kutno, Warszawę aż do Lublina . Lublin był opuszczony przez ludność - widziałem na peryferiach miasta tylko jednego Żyda trzęsącego się ze strachu ale pilnującego swego kramu i on nam wskazał kędy mamy pójść do Świdnika. Na tej całej, trwającej około 15 dni trasie przeżyliśmy wiele: bez prowiantu, bez kuchni polowej bez organizacji wojskowej - poprostu żebraliśmy od innych o ile taka okazja się nadarzyła. Mieliśmy tylko zwykłe karabinki z kolbami drewnianymi i bagnetem i ani jednej gilzy na wystrzał... O ironio losu... za jakie grzechy tak nas haniebnie oszukano !!!? Niedawno temu - przed kilku laty - czytając "Przekrój"znalazłem w nim wspomnienia generała Kutrzeby i dopiero się dowiedziałem o tym, że był on dowódcą Armii Poznań i wykonywał "...rozkaz niewykonalny! ". Wycinek ten przekazałem do Izby Pamięci Narodowej - przy szkole Nr 1 w Choszcznie.

W Świdniku rozlokowaliśmy się w różnych willach ukrytych w lesie przy lotnisku i przespaliśmy tylko jedną noc bez nalotów, ale w dzień około południa i po południu Niemcy już nas wywąchali i pruli w nas ile wlazło... Boże mój, ile widziałem w tym świdni-

lesie
dzkim zabitych i rannych... Pamiętam że nagle z telegrafisty przekwa
lifikowałem siebie samego w sanitarnego łapiducha, organizowałem pom
opatrunkową tak jak umiałem i z czego się tylko dało drzeć bandaże.
Pozostawiliśmy ich i poszliśmy dalej i dalej,nie wiedząc wcale dokąd
18 września przed południem byliśmy blisko granicy rumuńskiej i tam
zostaliśmy zatrzymani przez żołnierzy radzieckich... Najpierw pusz-
czono na postrach parę pocisków świstających nad nami, a następnie:
"Ruki wier !" - rece do góry ... Ktoś z naszych po poznańsku wrzasnął
"Tej - co on mówi???.." Kazali nam zrzucić broń, płaszcze plecaki i
inny ekwipunek wojskowy - pozostaliśmy tylko w lichym mundurze lotni-
czym stalowym z beretem na głowie i trzewiczkami przechodzonymi ze spi
naczami... Straszne to uczucie, kiedy żołnierz przestaje być żołnier-
zem i staje się ofiarą niewolniczego losu... Tak "goli" z podniesiony
mi rękoma doszliśmy do miasta Horodenka to jest do punktu zbornego..
na jakimś placyku. Z naszych naramienników pozrywaliśmy sobie belki...
Pod wieczór , a raczej tóż po południu ulokowano nas w polskiej szko-
le - na ścianach w klasach wisiały portrety dostojników państwowych
marszałka Rydza Smigłego i Ignacego Mościckiego, którzy wcześniej ju
zwiali do Rumunii - przed nami - godło państwowe patrzyło na nas ży-
wych,w niewolniczej ojczyźnie... Głodni i bez ćmika i zapałek leżeli-
śmy na podłodze czekając co będzie dalej. A dalej,w samą noc,bandero-
wcy ukraińscy,napadli na żołnierzy radzieckich,którzy nas pilnowali".
Zamknięci nie wiedzieliśmy wcale o co ten bój głośny, a to właśnie o
nas chodziło tej zgrai ukraińskiej - chcieli nas wymordować... Rankie
my,w tych naszych trzewichkach spiętymi owijaczkami dreptaliśmy dale
dalej aż doszliśmy do kończącej się,starej,polskiej granicy to jest
miejscowości Wołoczysk,czy też Podwołoczysk. Nastawał zmrok - gdzieś
w dali na wolnej przestrzeni płonęło dziesiętki ognisk drgając pło-
mykami i kopcząc a przy nich, i ludzkie cienia zmieniające się w ruch
Doszliśmy na miejsce - mrowie wojska podobnego do naszego - wśród ni-
były i żony wojskowych starszych,a także dzieci. Noc była już chłodn
więc my rozgrzewaliśmy się własnymi plecami lepiąc je do siebie: ku-
mpel z kumplem, brat z bratem, jeńcem wojennym, ściślej internowanym.
W nocy kilku z naszych towarzyszy niedoli odebrało sobie życie - wie
szając się...

Od świtu samego zaczęliśmy się ustawiać w różne kolumny i
szyki czekając na jakiś posiłek na szczękające zęby z zimna i głodu.
Pamiętam że jakiegoś artylerzystę prosiłem o wypożyczenie mi puszki
od maski gazowej na wypadek gdyby podjechała kuchnia, bo widziałem,
że drynda mu przy boku menażka. Zgodził się - ale widoku na jadło ni
było widać... Nagle, blisko mnie z boku podjeżdża polówka na kółkach
i kucharz przystaje i krzyczy: "Jeszcze dwadzieścia chłopa niech po-
dejdzie do mnie..." Zmartwiony łapię się za swoją głowę i już trzyma

beret i podstawiam go pod chochlę kucharską... i ciach już trzymam w moich garściach coś ciepłego i darninę chleba jak ziemia... Niosę ostrożnie,żeby tego skarbu nie utracić ani kropli ale czuję, że robi mi się mokro i słabo więc siadam na boku, żeby nikt na mnie nie patrzył... wyciągam z gęby mój ozor i chlipię nim,jak pies... Łzy moje kapały w beret same i powiększały porcję - były one silniejsze ode mnie"..../patrz odpis artykułu,Mariusza Czarnieckiego z MIESIĘCZNIKA SPOŁECZNO-KULTURALNEGO "SPOJRZENIA" Szczecin, czerwiec1973 roku Nr 6 /30/ - stron 14 i 15 Portrety i pejżaże P O K O-L E N I A - zał.1./

Wypłakany i trochę posilony czułem się lżejszy. Pod wieczór udało się nam dostać razem z moimi przyjaciółmi do kołchoźnianej długiej stajni czy obory...w środku której było koryto. I właśnie w to koryto wsunęliśmy nasze tylnie części ciała naszego, a nogi zwieszały na krawędzi jego. Było nam cieplej bo, tłoczno i z wszystkich parowało. Rano wypoczęci - ja,i moi koledzy z 3 pułku lotniczego to jest Felicjan Dolny, którego służba czynna przypadła na wojnę, Wiktor Starzonek nauczyciel z Rawicza, Krakauer,Żyd z Katowic i piszący,to rezerwiści. Onego dnia około południa, młode dziewczyny radzieckie spisywały jeńców na listy. Ja poraz pierwszy w moim życiu słyszę w oryginale słowa: "Kak was zwać ? - Jak wasza familia ?" Bardzo szybko zmiarkowałem o co idzie jej. W/g mnie wszystkie języki słowiańskie łączy coś wspólnego - miękkość i ciepło. Zostaliśmy dołączeni do grupy, którą młody podoficerek radziecki zaprowadził do pobliskiej wioski. Wkraczając do niej zauważyliśmy, że przy niektórych zabudowaniach są ogrody, a w nich i płody jesienne: brukiew, ogórki i inne. Nasi, gdy ujrzeli te kolorowe specjały, już je mieli przy sobie - a płoty leżały na ziemi. Felek złapał dynię żółtą,/po poznańsku mówią pewnie korbal/ Przepołowił ją czymś - ze środka zjedliśmy wszystko i już mamy duże menachy do zupy. Nagle ku mnie podszedł młody chłopak i pyta czy mam zegarek do sprzedania? Popatrzyłem na niego i pokazałem mu moją pierwszą "cebulę" kieszonkową. Spodobał mu się,i pyta mnie,ilę chcę za niego? Odpowiedziałem że sprzedam go,ale tylko za chleb. Ile chleba?? Dużo powiedziałem. Poczekaj,ja tu zaraz przyjdę i popędził gdzieś za chałupy kryte przeważnie słomą. Wydawało mi się,że chyba komuś ukradł ten chleb z jakiś ziemianki. Przyniósł mi dwa okrągłe bocheneczki chleba własnego pieczywa i dał jeszcze 15 rubli. Przyjąłem uradowany i wręczyłem mu żegarek. Jeden bocheneczek zaraz wpakowałem Felkowi na plecy pod mundur, że jest garbaty,a ten drugi wcisnąłem sobie na piersi , że niby mam taki bebech. Wszystko to musieliśmy robić tak, żeby nasz podoficerek nie skapował że my coś szachrujemy. Ale on był tak zajęty tę swoją misją dowódczą, że nie za-

uważył - "był w swoim sosie", że prowadzi /chyba poraz pierwszy w swoim życiu/ taką zgraje. Do kuchni podeszliśmy dość zadowoleni i otrzymaliśmy swoje porcje do nowych menażek. Po powrocie do zboru, zauważyliśmy na rampie podstawiony długi pociąg i ktoś nam powiedział że szykują transport żeby nas przewieźć. Dokąd, to nie ważne, żeby jak najdalej z tego pola zbornego. Zostaliśmy i my przyjęci i załadowani. Ulokowaliśmy się całą naszą czwórką blisko siebie od p rteru wzwyż prycz przedziału jak-w "łabaju"... Bogatsi już mając skarb chlebny, i menażki z dyni. Przed ruszeniem wydano nam jeszcze trochę sucharów chlebnych, machorkę i cukier w-bryłkach - rąbany. Ale dokąd oni nas powiozą ? - ktoś ze strachem zapytał ? Na Sybir ktoś dodał głośno... W każdym bądz razie jechaliśmy długo i daleko przez Kijów, Moskwę aż podobno gdzieś blisko miasta Gorki -dawnjej podobno Niżninowogrodu /?/ W Moskwie miano nas odwszawić - przejść dezynfekcje, ale z jakichś tam powodów, do tego nie doszło. Szkoda, podrapaliśmy się po swoich plecach i gdzieś jeszcze... Ale zaprowadzili nas do bardzo schludnej i dużej stołówki, a to najważniejsze. Przed posiłkiem jakiś oficer polityczno-wychowawczy przemówił do nas dość przekonywująco./tak przynajmniej ja to odebrałem/ Powiedział, że nasz sanacyjny rząd ulotnił się zagranicę i pozostawił na łasce losu wojennego dodając przy tym że, generalismus Stali polecił zaopiekować się nami. Ktoś z naszych, nie czekając końca mowy wrzasnął głośno: Niech żyje Stalin !!! - a my za nim trzy razy d wtóru: niech żyje, niech żyje..., ale z ukosa patrzyliśmy, co wnoszą na stoły do jedzenia. Była kasza jęczmienna oblana sosem do tego kr mnka chleba, i jakieś picie czaja. Podział równy i sprawiedliwy. Dz ki Bogu - pomyślałem w duchu, mają oni z nami "prawdziwą polkę"... Tory kolejowe na całej przestrzeni zabrudzone od ludzi - my także pozostawiliśmy po sobie ślady. Były sprzątaczki przykrywały "to" ziemią, jak przy sadzeniu i dołkowaniu pod ziemniaki... Wciąż jechaliśmy dalej i dalej długo... Niektórzy z naszych wyskakiwali z wagonów, choć było to zabronione przez nasz konwój. Niestety - przeważnie ci śmiałkowie przegrywali, łamali sobie kości, a gdy doszli do jakichś zagród, Ukraińcy czekali na nich i robili z nimi co chcili - czasem robierali do naga, a czasem mordowali. Nawet przy torach czekały na nich zasadzki. Opowiadali nam ci, co to przeszli i cudem przeżyli. Czasem na trasie pociąg musiał przystawać żeby "zatankować paliwo" to jest narąbać drzewa w lesie i nakarmić nim lokomotywę, żeby mogła sapać i ciągnąć nas dalej.

Był już październik bardzo chłodny i padał mokry śnieg z deszczem, gdy nasz pociąg dojechał do końca i przystanął. Wysiedliśmy i kroczyliśmy luźnymi grupkami za przewodnikiem naszym. Z daleka widać było jakieś większe sioło i piękną cerkiew prawosławną z

kopułami. Przy wkraczaniu do sioła ludność która nas z ukrycia dostrzegała kiwała głowami, jakby nam współczóła. Domki drewniane bardzo oryginalne ze zdobnymi okiennicamia w środku sioła stara dzwonnica, a dalej,wielkie zabudowania murowane obwarowane wysokim murem i takąż samą bramą wjazdową,którą otwarto na nasze przybycie i w tym to klasztornym przybytku w/g mojej oceny rozlokowano nas na oddzielne soby,zależnie od ich wielkości. W naszym pokoju średniej wielkości ulokowało się ok.70 chłopa,na pryczach pod sam sufit. Wszystko to musieliśmy wykonać we własnym zakresie i własnym sposobem zorganizować potrzebne materiały. Niektóre pokoje miały ozdobne sufity z rozetami i fryzami i wszędzie dostrzegało się piękno starego budownictwa. Niestety - szybko ulegały one niszczeniu przy naszym wkroczeniu i urządzaniu się. Warunki wyżywienia trudne i racje szczupłe np. na przegotowaną wodę trzeba było czekać godzinami w kolejce. Podobno jesteśmy tylko czasowo,bo mają dokonać wymiany jeńców z III rzeszą niemiecką. Istotnie tak się stało. Z końcem listopada, po uprzednim przeględzie lekarskim"na oko" i odpowiedzi badanego na zadane pytania lekarskie,otrzymywało się kategorię "charaszo" - otrzymaliśmy ją prawie wszyscy. Na drugi,czy na trzeci dzień,przeprowadzono nas do innego pomieszczenia i tu przypadkowo spotkaliśmy się z artystami opery lwowskiej.Niestety - Tońcia i Szczepcia z lwowskiej fali ni widziałem. Jeden z nich jak się dowiedział, że jesteśmy z 3 -ciego lotniczego z Poznania wyjął faje z kieszeni z dużym cybuchem i w jakiś tam tajemniczy sposób starł ją na kamieniu na"tytoń" i z gazety zrobił tak grubego papierosa /po poznańsku ljąta" że wszyscy, jak Indjanie,sztachaliśmy się po razie głęboko,do samego pępa... Przy tej indiańskiej sztafecie,wszyscy śpiewaliśmy patriotyczne pieśni na głosy,które koiły nasze przygnębienie,i mięszały się z kadzidłem dymu..

Wczesnym rankiem a raczej najpierw nocą staliśmy na dworze i byliśmy wywoływani w/g nazwisk. Trzeba było bardzo wnikliwie słuchać bo czytający "jąkał się"przy niektórych trudnych do odczytania nazwisk. Po jakimś czasie,gdy wszystko skompletowano,otwarto bramę gmachu i wypuszczono nas. Dziś,jeszcze widzę moimi oczyma,te długie kolumny maszerujące i przy świetle promieni wstającego słońca śpiewające na wojskowe głosy chyba najcudniejszą w świecie tę naszą,ludową pieśń: Rano, rano, raniuśieńko - rano po rosie, rano po rosie sie,sie... Wyganiała Kasia wołki rozwidniało się,sie sie sie... Rozwidniało sie Do domu idziem... do naszej Ojczyzny wracamy !!!! A kiedy przekraczaliśmy starą granicę wschodnią,łzy same kapały i ściekały po mundurze na wagonową podłogę - żeby się nie kurzyło... Ale pomijam sam fakt formalnej wymiany. Otóż w tym obustronnym porozumieniu stron: Związku Radzieckiego i III Rzeszy, wymieniono sobie jeńców: Zw.Radz.otrzymał zabranych przez Niemców Ukraińców,Białorusinów,Litwinów itp -

Niemcy zaś odebrali"Swoich": poznaniaków, pomorzaków i ślązaków. Miało to miejsce na moście jakiejś rzeki. Strony wyczytywały w/g list i przeprowadzały przez most swoich przekazujących z listami.

Po stronie niemieckiej na rampie czekały już wysokie duże wagony na nas. Ustawiać musieliśmy się w/g niemieckiego "dryla", na baczność,i innych komend w języku niemieckim. Wagony nabito ludzką masą do oporu i zaryglowano drzwi wagonu. Na trasie chyba dwa razy przystanęli gdzieś w gołym polu i wypuszczono nas żebyśmy się mogli załatwić. Ale zanim nas puszczono luzem ostrzeżono: o ile ktoś ucieknie i będzie brakować,to za jednego pójdzie 10-ciu "trach" ! Przy przekazywaniu tego "Befehla" ujadały i rwały się do nas wyćwiczone psy,trzymanych przez uzbrojonych w broń palną wachmanów...

Ale przecież były i"potrzeby" że tak powiem w "locie" na trasie. Nasz Felek,dobrał sobie paru fachowców i w mig poradzili odsunąć trochę drzwi wagonu na tyle, aby ona,tylna część ciała potrzebującego mogła się zmieścić. Przy tych czynnościach trzymano faceta za ręce żeby go wiatr nie porwał. Ja, będąc niskiego wzrostu /156 cm/ byłem ściśnięty przez wyższych dryblasów, ale było mi za to cieplej od tego ludzkiego dechu. Niektórzy nawet mówią, że małych ludzi sam Pan Bóg stworzył?.. W moim przypadku prawie wszystko się zgadza: wie dzięki Ci Panie Boże, za te wszystkie dary i łaski,w tej naszej,żołnierskiej i niewolniczej niedoli !!!! Czasem trudno mi samemu uwierzy w to, że żyję i piszę dzisiaj me wspomnienia...

Ale cofnę się jeszcze do tej trasy na teren Związku radzieckiego. Jadąc, przez szpary wagonu dostrzegaliśmy gdzie niegdzie cmentarze - te stare prawosławne i te nowe. Wieczorem migały na nich świtełka, ale po polskiej stronie - były i cmentarze samolotów - naszych pięknych "Łosi" i "Karasi" a między nimi i PZL-ek myśliwskich...Żal serce ściskał,że ani razu nie było im dane - tak samo jak nam - wzbić się w górę i walczyć. Umarły i zastygły w kupie złomu - razem z nami prawie,haniebnie zdradzeni...

Po długiej, męczącej podróży dojechaliśmy do celu,to jest,do obozu jenieckiego w Grossborn. /Borne K/Szczecinka/ Wyładowano nas na stacji kolejowej /Westwalenhof ?/ a stamtąd pieszo do obozu. Najpierw postawiono nas przed barakiem łaźnią, żeby nas po niemiecku wykąpać. Tu naszego kolegę, Krakauera szwaby rozpoznały, że jest Jude i zabrali go do oddzielnego baraku dla Żydów, My, staliśmy w dwuszeregu pewnymi grupami i wszystko z kieszeni kazali nam powyciągać i położyć na ziemi przed sobą. Jak wyjdziemy z łaźni to odbierzemy sobie. Nic z tego. Jak wyszliśmy z łaźni naszych rzeczy nie było ,a w tych samych miejscach,stały i czekały nowe grupy do kąpieli. Nasze rzeczy przywłaszczyli sobie wachmani i inne szakale niemieckie.

Tu odsyłam Czytelnika do moich "Wspomnień jeńca" wydanych przez Instytut Zachodnio-Pomorski w Szczecinie zamieszczonych w monografii regionalnej nr 3. "Z DZIEJOW ZIEMI MYSLIBORSKIEJ" do stron 157 - 166, Szczecin 1966 /dołączam je w oryginale/.

Z tego właśnie obozu jenieckiego w grudniu wysłaliśmy pierwszą pocztę do naszych domów. Jeden egzemplarz,listu drukowanego już,wydano na pięć osób i te musiały się dobierać. Ją dołączyłem się do Felka Dolnego i podałem adres mego ojca. Jak się okazało,Pani Dolna,zawiadomiła go,że żyję. Potwierdza to również moja siostra z którą zamieszkuję, że tę wiadomość o mnie, odebrali w samą wigilię Bożego Narodzenia. /Niestety, za jakiś czas i ją Niemcy zabiorą i umieszczą w obozie specjalnym dla dziewcząt w Łodzi. Ale szczęście jej dopisze - zdużym numerem na piersi zostanie przewieziona koleją do miasta Ratzenburg k/Szleswiku Holsztynie, i tam z literą "P" będzie pracowała w jakimś internacie żeńskim. Podobny los spotka i starszą siostrę Marię, którą Niemcy zatrudnią w Białkoszu na majątku, młodszy mój brat Józek zostanie wywieziony na roboty przymusowe do bauera niemieckiego w Olsen k/Frankfurtu n/Odrą - przeżyją wszyscy./ W/w byli w czasie wojny moimi czytelnikami i korzystali z tajnej biblioteki jaką prowadziłem w Rychnowie.

Nadeszły Swięta Bożego Narodzenia - pierwsze w niemieckiej niewoli i my,wciąż tacy sami,w tej samej odzieży otrzymanej w sierpniu 39 z 3 pułku lotniczego w Poznaniu. Ile w tej naszej odzieży było brudu i robactwa,tego nikt nie zdoła odgadnąc ani ja opisać... Za jednym przeglądem - biłem przeszło setkę, i to różnej maści...Nawet "krzyżaka" znalazłem i zaproponowałem w naszej sztubie wyścigi. Odbyły się one na stole z którego michy nasze zestawiliśmy na podłogę na ten czas. Ktoś dorzucił jakiegoś "odmieńca" i puściliśmy ich z mety,a Felek,uratowaną lupą zegarmistrzwską kontrolował która szybsza...Byliśmy na ten czas podzieleni na dwa obozy dopingujące i wszyscy na ten czas,zapomnieliśmy o głodzie i niewoli...

W pierwszy dzień Swiąt Bożego Narodzenia spotkał nas wyjątkowy zaszczyt - zostaliśmy powiadomieni, że za półgodziny mamy być gotowi,bo zaprowadzą nas na nabożeństwo do obozowej świetlicy. O ustalonym czasie jenieckie szyki prowadzono do drewnianej świetlicy stojącej w środku obozu. Nabili nas, ile tylko wlazło, ale trudno mi podać nawet cyfrę zbliżoną. Było nas dużo, parę set... Ołtarz był skromny, a ksiądz, w wieku ok. 60 lat. Wszyscy staliśmy zdyscyplinowani - spokojni - a każdy z nas, myślami swymi był w swoim rodzinnym domu - ja też. Nagle ksiądz czyta naukę ewangieliczną łamaną polszczyzną... Nie,nie mylę się... a po credo odwrócił się ku nam i powoli uważnie powiedział: "możeta śpiywać kolędy. Boże mój !... Ktoś szybko zaintonował: W śród nocnej ciszy, głos się rozchodzi... Bóg się wam rodzi... Nie jestem tutaj wstanie oddać w słowach

tego wszystkiego, co działo się w tej obozowej świetlicy w Grossborn otoczonej na zewnątrz całymi ulicami: baraków, baraków, baraków ze sztubami - a ten nasz niewolniczy śpiew polskich kolęd potęgował się i wzbijał do góry niby wypał tysięcy serc łapiących za broń przeciw znienawidzonemu wrogowi... Łzy lały się z każdego, ściekały po łachmanach razem z wszami, i widać je było u każdego wszędzie. Śpiewaliśmy całym sercem, do samego końca nabożeństwa, zmieniając tylko melodię kolęd... Gdy wyprowadzono nas na dwór, mroźny chłód zgasił wewnętrzny zapał serc - a każdy z nas łaknął i pragnął tylko tego jednego: - żeby mógł się jeden raz w życiu najeść do syta...

Nie pamiętam dokładnie, czy było to po wyżej opisanym nabożeństwie, czy przed, gdy pewnego wieczuru wpadli wachmani do naszej sztuby i przeprowadzili rewizje. Pech chciał, że przed naszym żelaznym piecykiem znaleźli kilka małych drewienek, jakie w ukryciu przynieśliśmy z roboty przy rozładowywaniu polskiej tarcicy na rampie kolejowej, żeby było nam cieplej spać. Właśnie szykowaliśmy się do snu - niektórzy koledzy byli tylko w bieliźnie już, aż tu nagle: "Ale man raus !!!" Wypędzili nas wszystkich, jak kto stał, na śnieg i mróz i naigrawali się i maltretowali różnymi komendami: "padnij, powstań, padnij padnij łojąc nas nahajami ile popadło. Około godziny z bronią palną i ujadającymi psami bawili się jak hycle, jak ludożercy... w obozie śmierć zaglądała nam w oczy. To też po tej zaprawie zbuntowaliśmy się nas troje z 3 pułku lotniczego, komendant naszej sztuby Wacek Witkowski z Poznania, Władek Dorsz, bokser z Bydgoszczy, jego kumpel Władek jakiś marynarz, ktoś co miał wiatrak na Pomorzu i kilku innych - razem 20 chłopa. Rano, gdy wywoływano chętnych do roboty, zgłosiliśmy się. /Niemcy robili to różnie, i czasem bardzo podstępnie trzeba było to "wywąchiwać" u nich/ Trochę było szumu w okół mej osoby, bo przy mnie stanął wysoki Karasek, w płaszczu - był on Kaszubem. A ja 156 cm wzrostu i kazano mi wysąpić z szeregu... Boże mój - krew we mnie zakipiała, spociłem się ze strachu, ale wślizgnąłem się jak szczur w drugi szereg - koledzy się "połapali" i pokryli szybko i.. :Links um ! W lewo zwrot ! - i już kroczymy raźno, ale ja na końcu niespokojny i drżący ze strachu, że każdej chwili może mnie ktoś zdzielić w łeb z tyłu. Ale udało się i szczęśliwie przekroczyliśmy bramę obozową i poszliśmy do biura żeby nas spisali. Rano byliśmy już załadowani w wagonie pociągu osobowego z wachmanem uzbrojonym . Pod wieczór dojechaliśmy do małej stacyjki "Berenstein" - to dzisiejsze Pełczyce, a od nich już pieszo do Klein Latzkow czyli do polskiego Laskówka. /patrz Wspomnienia jeńca na stronie 158/

O mojej działalności konspiracyjno-oświatowej w czasie wojny w Rychnowie dość wyczerpująco trzy artykuły podał w prasie, były redaktor Głosu Szczecińskiego, a obecnie Redaktor Naczelny tygodnika ZIEMIA GORZOWSKA Pan Bronisław Słomka. Poniżej podaje je w/g tytułów: na łamach Głosu Szczecińskiego "Pamiętne dni" z dnia 02 lutego 1967 r. i "Nosim u srcu lik Poljaka" /Noszę w sercu obraz Polaka/ z dnia 15 sierpnia 1970 r. zaś "Szary skowronek" ukazał się w dniu 08 maja 1980 roku w ZIEMIA GORZOWSKA. Wszystkie w/w artykuły w odpisach, podaje jako załączniki do niniejszych wspomnień. Ponad to - jestem także wymieniony z nazwiska oraz zdjęciem razem z innymi działaczami kulturalnymi w województwie szczecińskim w Miesięczniku Społeczno Kulturalnym CRZZ nr 4 z kwietnia 1965 roku i w książce we Wspomnieniach Szczecinian pt. "Z NAD ODRZANSKIEJ ZIEMI" na stronach 252 i 253 a wymienia mnie Marianna Bogusławska w "POLSKA SZKOŁA W BARLINKU". Także i w innych pismach wspominano moją społeczną działalność na tutejszych terenach ale porozdawałem je do Muzeum Regionalnego w Barlinku i Izby Pamięci Narodowej przy szkole Nr 1 w Choszcznie.

Oficjalny mój powrót do Barlinka po wyzwoleniu nastąpił po zdemobilizowaniu mnie z wojska, a ściślej w lutym 1946 roku. Przyjechałem na wezwanie mnie przez Czesława Dolnego który napisał do mnie: "... w Barlinku brak ludzi i brak nauczycieli - przyjeżdzaj - prosi poprzez mnie, kierownik szkoły, Pan Bronisław Grynia. Niestety - po zdemobilizowaniu mnie z wojska byłem znów goły, jak mysz kościelna. W wojsku służyłem w tych samych butach "kożiokach", jakie mi Serb, Branko zorganizował, jak kroczyliśmy 1 lutego 45 przez wyzwolony Barlinek. W nich też powróciłem w lutym 46.

Najpierw musiałem zdobyć pieniądze na podróż więc we wsi rodzinnej razem z młodzieżą organizuje zespół amatorski i wystawiam z nim rewię pt. "Dla każdego coś nowego". Graliśmy ją we Wrąbczynie oraz w Zagórowie dając pewną sumę na budowę nowej szkoły w tym miasteczku a resztę, oddaliśmy zarządowi OSP we Wrąbczynie pod którego to patronatem występowaliśmy. Ja za mój wysiłek otrzymałem pewien ekwiwalent i za te to pieniądze przyjechałem do Gorzowa Zamościa. Na stacji czekał już na mnie, wóz konny, śp. Wielgosza, który miał rozlewnie piwa - jechaliśmy więc na beczkach z tym nektarem i wyładował w Rynku barlineckim a dalej już trafiłem do Ireny i Felicjana Dolnych przy których był również Czesław. W tym miejscu gwoli prawdy muszę wyznać, że właśnie, Felicjan Dolny wraz z Zygmuntem Baumanem i Wacławem Witkowskim i innymi Polakami, którzy w czasie wojny pracowali w tym mieście przymusowo zorganizowali pierwszą że tak określę polską władzę po wyzwoleniu: Komitet Pola-

Ków. Czesław dojechał do nich z Poznania i podjął pracę w Zarządzie miejskim obejmując referat wojskowy i pomoc społeczną dla osiedlających się Polaków. Niestety - gdy ja przyjechałem zastałem go chorego w łożu - przeziębił się jadąc wozem konnym na kurs do powiatu tj w Myśliborzu. Był on gruźlikiem i już przed wojną miał założoną tz.odmę płucną, i już z tego przeziębienia nie wyszedł,bo było brak środków leczniczych i brak lekarzy... Zmarł 26 kwietnia 1946 i pochowaliśmy go,na barlineckim cmentarzu na którym spoczywał do 1977 roku, następnie ekshumowany i przewieziono Jego prochy na cmentarz w Junikowie w Poznaniu, Żegnałem Go fragmentami ze "Szczecińskiej kantaty" Ryszarda Liskowackiego. Poza wymienionymi w Barlinku osiedliła się i pracowała w Zakładach Drzewnych i Danuta Dolna żona Kazimierza Dolnego. Przyjechał on ze strefy wyzwolonych przez wojska alijanckie w jesieni 1946 i w Barlinku był pierwszym dentystą Ubezpieczalni Społecznej z zawodu był technikiem dentystycznym . Później opuścili Barlinek i wyjechali na Śląsk do Bytomia i pracuje tam po dzień dzisiejszy. Odwiedzili mnie niespodziewanie w Poznaniu w 1985,gdy leżałem w Klinice im.Pawłowa przy ul. Długiej 1.

O tym, że mój śp. Przyjaciel, Czesław Dolny był pierwszym organizatorem życia kulturalnego w wyzwolonym Barlinku,podałem i umotywowałem zdjęciami w Kronice Kulturalnej,spisanej za czas 1945 - 1967 przeze mnie ręcznie - znajduje się ona w Muzeum barlineckim razem z pięknym Sztandarem byłego Koła Spiewaczego "HALKA". Przez cały czas,Czesław Dolny tworzył. Najpierw wykonał "Szopkę Betlejemską" wystawianą techniką tz. chińskich cieni.Grano w okresie Swiąt Bożego Narodzenia 1945 -1948, a pomagali Felicjan i Danuta Dolni. W styczniu 48,już zasililiśmy paroma śpiewakami chóru "HALKA" było to w domu prywatnym P.Bauman. Poza szopką,Czesław rzeźbił w drzewie lipowym główki,do przyszego teatru marjonetek - nawet i moją podobiznę wyrzeźbił i przysłał mi do Rychnowa. Niestety nie zachowała się - straciłem ją na trasie w czasie, gdy szedłem ze Serbami i spotkał nas nalot samolotów niemieckich.

. . . . .

Ale cofnę się wstecz do czasu, kiedy działałem w Rychnowie. Wieść o tym, że wypożyczam polskie książki rozniosła się szybko po całej okolicy. Pewnej niedzieli przybyło do mnie z pobliskiego Kurzdorfu/Wiewiórki PGR ?/blisko Dzikowa /Dickow/ dwóch Polaków. Jeden z nich to,śp.Jan Kranz z Bydgoszczy i szybko z nim się zaprzyjaźniłem - miał pełne średnie wykształcenie plus wykształcenie muzyczne - fortepian i akordeon. To właśnie od niego dowiedziałem się że niedaleko od nich w Scheiajche /Jesionowie/

Ków. Czesław dojechał do nich z Poznania i podjął pracę w Zarządzie miejskim obejmując referat wojskowy i pomoc społeczną dla osiedlających się Polaków. Niestety - gdy ja przyjechałem zastałem go chorego w łożu - przeziębił się jadąc wozem konnym na kurs do powiatu tj w Myśliborzu. Był on gruźlikiem i już przed wojną miał założoną tz.odmę płucną, i już z tego przeziębienia nie wyszedł,bo było brak środków leczniczych i brak lekarzy... Zmarł 26 kwietnia 1946 i pochowaliśmy go,na barlineckim cmentarzu na którym spoczywał do 1977 roku, następnie ekshumowany i przewieziono Jego prochy na cmentarz w Junikowie w Poznaniu, Żegnałem Go fragmentami ze "Szczecińskiej kantaty" Ryszarda Liskowackiego. Poza wymienionymi w Barlinku osiedliła się i pracowała w Zakładach Drzewnych i Danuta Dolna żona Kazimierza Dolnego. Przyjechał on ze strefy wyzwolonych przez wojska alijanckie w jesieni 1946 i w Barlinku był pierwszym dentystą Ubezpieczalni Społecznej z zawodu był technikiem dentystycznym . Później opuścili Barlinek i wyjechali na Śląsk do Bytomia i pracuje tam po dzień dzisiejszy. Odwiedzili mnie niespodziewanie w Poznaniu w 1985,gdy leżałem w Klinice im.Pawłowa przy ul. Długiej 1.

O tym, że mój śp. Przyjaciel, Czesław Dolny był pierwszym organizatorem życia kulturalnego w wyzwolonym Barlinku,podałem i umotywowałem zdjęciami w Kronice Kulturalnej,spisanej za czas 1945 - 1967 przeze mnie ręcznie - znajduje się ona w Muzeum barlineckim razem z pięknym Sztandarem byłego Koła Śpiewaczego "HALKA". Przez cały czas,Czesław Dolny tworzył. Najpierw wykonał "Szopkę Betlejemską" wystawianą techniką tz. chińskich cieni.Grano w okresie Świąt Bożego Narodzenia 1945 -1948, a pomagali Felicjan i Danuta Dolni. W styczniu 48,już zasililiśmy paroma śpiewakami chóru "HALKA" było to w domu prywatnym P.Bauman. Poza szopką,Czesław rzeźbił w drzewie lipowym główki,do przyszego teatru marjonetek - nawet i moją podobiznę wyrzeźbił i przysłał mi do Rychnowa. Niestety nie zachowała się - straciłem ją na trasie w czasie, gdy szedłem ze Serbami i spotkał nas nalot samolotów niemieckich.

* * * * *

Ale cofnę się wstecz do czasu, kiedy działałem w Rychnowie. Wieść o tym, że wypożyczam polskie książki rozniosła się szybko po całej okolicy. Pewnej niedzieli przybyło do mnie z pobliskiego Kurzdorfu/Wiewiórki PGR ?/blisko Dzikowa /Dickow/ dwóch Polaków. Jeden z nich to,śp.Jan Kranz z Bydgoszczy i szybko z nim się zaprzyjaźniłem - miał pełne średnie wykształcenie plus wykształcenie muzyczne - fortepian i akordeon. To właśnie od niego dowiedziałem się że niedaleko od nich w Scheiajche /Jesionowie/

W 1980 roku stan mego zdrowia bardzo się pogorszył, lewą nogę miałem już zimną i liczyłem się z jej amputacją. W związku z tym, bardzo przygnębiony, zabrałem się do spisania mego, nazwijmy go testamentu pt."Niezwykły życiorys" podając w nim:co, gdzie, kiedy... i pragnąłem uczcić nim 35 lecie, naszego tu gospodarowania po wyzwoleniu. Przytaczam mój opis z uroczystości jubileuszu XX - lecia Koła Spiewaczego "Halka" a raczej chóru tylko... Ten fragment, starałem się oddać w gwarze poznańskiej i nie jako ja, lecz ona - kobieta - opowiadająca. Przytaczam go: " Dojżałe dziywcze, według imienia, śpiywało, śpiywało i tero mo za swoje. Zestarzała barlinecka "HALKA" mo już dwadzieścia lat, tyj aktywnej działalności łoddawania się wszystkim. I łodbył sie jej ślub w byłej sali leśników... Ta stara chata tyż już całkim zgrzybiała. Ni ma przy ni - ani altany werandowej drewnianej, ani muszli koncertowej w sodku, ani przystani przy stowku /jezicrze/ ani nic. Wesele łodbyło sie w salce na deskach, a jej całe życie łod urodzenia łopowiedzioł z jakiś tam księgi Jot Te, a jedyn wiyrszyk powiedziało dziecko - Wiesia - któro sie tu urodziła. Był nawet Michalczyk, doł jiksiążke złotum, był dziod z brodą /śp.Jan Małysa - recytator/ siwum, nu i dużo, dużo ludzi ze Szczecina przyjechało na to wesele. Wesele miała piykne, łoj piykne - nie powiem.. Zaśpiywoł ij chór "HEJNAŁ" i żyna tyż z nimi.. Był taki Kaźmiyrczyk, taki Pysar z Halinką, a salke ładnie przystroiła plastyczka El Wilczyńska. W czasie czepin były Gryfy Pomorskie - łotrzymali je: Jadzinka, Helynka i Bronek - no wicie ? Tyn z PUMA Piykarski. Po tym jak była muzyka żyna tyż tańcowała, łoj tańcowała na łodwyrtke. Niektórzy , jak mieli doś to wychodzili na dwór, żeby się ździebko łochłodzić. Tańcowaliśmy do biołygu rana aż słońce wrzeszło ! Było to, zapomniałam powiedzieć 6-go maja i do "Wielkopolanki przed tym poszliśmy - niby na łobiod z tymi ze Szczecina. Po tym jak już sie najedli i napili wszyscy wyszli na Rynek i tam kole tego pumniczka - nu wiycie? Z tym gąsiorym co gryzie...wszyscy grubo i głośno zaśpiewali na głosy.. bez dyrygenta wdale - piesneczke:"... O ZIEMIO OJCÓW NASZYCH !"!! ... wyjenam chustke i wytarłam moje łzy ... a dali to już wum powiedziałam."

* * * * *

" Na niebie świeciło złote słońce i pewnego sierpniowego dnia mój "zięć" - szwagier powiedział: "Syrenka gotowa weź tylko swoje rzeczy i jedziemy... Byłem spakowany... Po latach żegnałem to miasto z żalem wielkim ale i koniecznością życiową. Przez szyby samochodu żegnały mnie przydrożne drzewa... jechałem do Choszczna 1967. Wiozłem moje notatki z Barlinka, którymi się dzisiaj dzielę z nowym pokoleniem...

Pierwszy raz w Choszcznie byłem w 1950 roku z okazji V - rocznicy upamiętniającej szlak bojowy I Armii W.P. zdobycia Wału Pomorskiego. Choszczeńscy działacze społeczni, na czele z Aleksandrem Markowskim zorganizowali przegląd konkursowy istniejących i działających zespołów amatorskich. Na stacji kolejowej powitał nas druh prezes Związku Śpiewaczego w Szczecinie, Władysław Walter i w/w druh Markowski. Od stacji kolejowej pod barlineckim sztandarem zwartym pochodem przemaszerowaliśmy zgruzowaną ulicą Wolności do Domu Społecznego blisko mariackiego kościoła - również bardzo zniszczonego. Podpierały go różne drągi i rusztowania, a na zniszczonej wieży krakały głośno czarne kruki i wrony. Ja również kroczyłem w czołówce a ktoś z boku, niósł mi teczkę z dietetycznym jadłem i insuliną. Pamiętam, że druh prezes, nakręcił amatorski niemy film z tego pochodu - oglądałem go później w Barlinku.

W 1967 powróciłem tu na stałe razem z moimi domownikami i wraz z moją siostrą zorganizowałem pierwszą na tym terenie placówkę - Klub Spółdzielczyń przy ul. Bohaterów Warszawy t.j. przy GS I WZGS - sie. Czynny on jest po dzień dzisiejszy. Oczywiście wszystko to zorganizowałem od podstaw w ramach tz. 1/2 etatu za 500 zł miesięcznie. Po zwolnieniu mnie, /podobno z uwagi na oszczędności ?/ podjąłem się pełnić funkcję sekretarza technicznego w Zarządzie Oddziału ZBoWiD i zaprzyjaźniłem się z dyrekcją, pedagogami i samorządem uczniowskim ze szkoły podstawowej Nr 1 - nazywają mnie po dzień dzisiejszy przyjacielem szkoły, co bardzo sobie cenię. Niestety - obecne moje siły nie pozwalają mi na czynne uczestnictwo w uroczystościach i spotkaniach z uczniami. Czasem oni do mnie sami przychodzą do mego domu...

* * * * *

O pięknie polskich kolęd, pieśni i wspólnej walce w niewoli niemieckiej, po 23 latach odszuka mnie przez PCK jugosłowiański poeta, Savo Panjković i w swym pierwszym wyznaniście: "Jakim językiem mam Ci pisać? Jakimi słowami? Ty żyjesz? Twój list zrozumiałem od słowa do słowa. Czy to możliwe że myśmy się odszukali i teraz pisujemy do siebie? Błagam Boga o pomoc... a serce powiada: pomalu, pomalu bo będzie "kaput", ale serce odpowiada: będzie dobrze i będzie "gut" ! Czy pamiętasz jak żeśmy u Leona Kamińskiego: my Jugosłowianie i Polacy i Ukraińcy śpiewali razem polski hymn?/dwie zwrotki napisał po polsku/ A śpiewaliśmy i lulaj że Jezuniu, lulaj, a Ty go Matulu w płaczu utulaj... A ja to wszystko pamiętam. Ej, ej bracie mój ! W tym samym liście, przytacza pierwszy wiersz, jaki poświęca za moim pośrednictwem Polakom. Cytuję go zgodnie z moim dowolnym przekładem z języka serbsko chorwackiego tak, jak zdołałem to wówczas odczytać :

Pierwszy raz w Choszcznie byłem w 1950 roku z okazji V - rocznicy upamiętniającej szlak bojowy I Armii W.P. zdobycia Wału Pomorskiego. Choszczeńscy działacze społeczni, na czele z Aleksandrem Markowskim zorganizowali przegląd konkursowy istniejących i działających zespołów amatorskich. Na stacji kolejowej powitał nas druh prezes Związku Śpiewaczego w Szczecinie, Władysław Walter i w/w druh Markowski. Od stacji kolejowej pod barlineckim sztandarem zwartym pochodem przemaszerowaliśmy zgruzowaną ulicą Wolności do Domu Społecznego blisko mariackiego kościoła - również bardzo zniszczonego. Podpierały go różne drągi i rusztowania, a na zniszczonej wieży krakały głośno czarne kruki i wrony. Ja również kroczyłem w czołówce a ktoś z boku, niósł mi teczkę z dietetycznym jadłem i insuliną. Pamiętam, że druh prezes, nakręcił amatorski niemy film z tego pochodu - oglądałem go później w Barlinku.

W 1967 powróciłem tu na stałe razem z moimi domownikami i wraz z moją siostrą zorganizowałem pierwszą na tym terenie placówkę - Klub Spółdzielczyń przy ul. Bohaterów Warszawy t.j. przy GS I WZGS - sie. Czynny on jest po dzień dzisiejszy. Oczywiście wszystko to zorganizowałem od podstaw w ramach tz. 1/2 etatu za 500 zł miesięcznie. Po zwolnieniu mnie, /podobno z uwagi na oszczędności ?/ podjąłem się pełnić funkcję sekretarza technicznego w Zarządzie Oddziału ZBoWiD i zaprzyjaźniłem się z dyrekcją, pedagogami i samorządem uczniowskim ze szkoły podstawowej Nr 1 - nazywają mnie po dzień dzisiejszy przyjacielem szkoły, co bardzo sobie cenię. Niestety - obecne moje siły nie pozwalają mi na czynne uczestnictwo w uroczystościach i spotkaniach z uczniami. Czasem oni do mnie sami przychodzą do mego domu...

. . . . .

O pięknie polskich kolęd, pieśni i wspólnej walce w niewoli niemieckiej, po 23 latach odszuka mnie przez PCK jugosłowiański poeta, Savo Panjković i w swym pierwszym wyznaniście: "Jakim językiem mam Ci pisać? Jakimi słowami? Ty żyjesz? Twój list zrozumiałem od słowa do słowa. Czy to możliwe że my śmy się odszukali i teraz pisujemy do siebie? Błagam Boga o pomoc... a serce powiada: pomalu, pomalu bo będzie "kaput", ale serce odpowiada: będzie dobrze i będzie "gut" ! Czy pamiętasz jak żeśmy u Leona Kamińskiego: my Jugosłowianie i Polacy i Ukraińcy śpiewali razem polski hymn?/dwie zwrotki napisał po polsku/ A śpiewaliśmy i lulaj że Jezuniu, lulaj, a Ty go Matulu w płaczu utulaj... A ja to wszystko pamiętam. Ej, ej bracie mój ! W tym samym liście, przytacza pierwszy wiersz, jaki poświęca za moim pośrednictwem Polakom. Cytuję go zgodnie z moim dowolnym przekładem z języka serbsko chorwackiego tak, jak zdołałem to wówczas odczytać :

Przypominasz sobie drogi Janku kolczaste druty:
Wszystkie głowy schylone. Wszyscy w pogrzebowym marszu:
Ile razy żeśmy pragnęli być ptakami,
By móc odlecieciećdaleko, daleko do W O L N O Ś C I !

Do was "wiecznie" mówili: "przeklęci Polacy"/verdamten Polen/
Nam również tak samo:"cholerni Serbowie"/verfluchten Serben/
I przyrzekali nam stale:"wy powinniście:/Sie sollen/
"Wy musicie wreszcie zginąć"/Sie mussen,und sie verden auch sterben

A przechytrzył się,przechytrzył się hitler - pies
W miastach naszych stanowiących dla niego barykady:
Nie mógł i nie zdołał "zabić nas" "Górskiego wieńca",
Ani Waszego"Konrada" ani "Tadeusza" ani "Dziadów"...

... I nie zdoła nas drogi bracie zniszczyć nikt i nigdy...

Ślę Ci mój jeden zbiorek tj. LIRYKE, jeżeli zdołasz go odczytać sprawisz mi radość. Pod koniec swego listu autor nadmienia że i ja w Rychnowie pisałem wiersze - dołączam takowe trzy,jako załączniki również przekład LIRYKA.

W liście z dnia 25.VI.66 podaje:"...Nigdy póki żyję nie zapomnę Polaków i każdego dnia o Was dzieciom przekazuję. A kto zdoła zapomnieć,Mickiewicza, Sienkiewicza, Tadeusza? Ą nauczyłem się i piosenki jaką mi przysłałeś o Waszej "Morskiej dziedzinie":"Nasza jest dziedzina morska my jesteśmy ze Szczecina
Mówią tu się kończy Polska -
Nie !!!! - tu Polska się zaczyna !!!! "
Jak to pięknie brzmi mój bracie. Jakie to wspaniałe... /chwali nawet po niemiecku. Jest to fragment z"Poloneza szczecińskiego" Zdzisława Króla muzyka - przesłałem mu całą parteturę - piszący/
W liście z 15.08.74 pisze pierwszy list o Polsce:

P O L S K A
1939

... Jeden wilk Ci ciało żre
Drugi wilk Ci duszę ssie,
A Ty sama, a Ty sama:
Wyrwać się wszystkimi siły...
Bo czy wszystko tak zostawić ??!

Krwawi z ran Twojego czoła,
Wszyscy spoglądają na nie.
A krew Twoja jęczy woła:
"... Jeszcze Polska nie zginęła
Jeszcze..., póki my żyjemy !!!...."

Oba te w/w wiersze wyszły w druku w Jugosławii ale w zmienionej nieco treści: Pierwszy zatytułowany KRATA ukazał się w zbiorze "PJESME" /WIERSZE/ w 1965 roku w Našicach. Przy wierszu jest moje zdjęcie w umundurowaniu LWP z 1945 r. Drugi zaś pt.POLSKA widnieje w zbiorze zatytułowanym: SREBRNE POLA wydanym w 1975 przez czterech poetów i mottem:"Ta książka jest podarunkiem kilku poetyckich generacji przemawiającej w 30 lecie odzyskania wolności" Przy wierszu tym, składającym się jaby z dwóch odmiennych części na egzemparzu moim dopisał odręcznie: "Bratu Janowi Tomaszewskiemu który mi dodał inspiracji do tego wiersza;

P O L S K A

Czy wierzysz w to ponieważ Cię krzyżują
Albo Cię krzyżują za to że wierzysz ?

Widzę wilki głodne
jak ćwiartują jagnię.
Zarłocznie ssają strumienia
krwi Twej gorące...

Stąd w Tobie siła
też skoro możesz udźwignąć
do bólu upartego
wierząc w zmartwychwastanie "

"To krew moja znajdzie źródło
Co z rannego kapie czoła
/Krzyczy na was coście niemi /:
JESZCZE POLSKA NIE ZGINĘŁA
/JESZCZE/, POKI MY ŻYJEMY..." "

* * *

Siostrze Jadzi Melerowicz takiej samej polskiej kobiecie "

Byłem w Polsce
i widziałem Bałtyk czarny
i na nim białość łodzi...

Byłem w Polsce
i widzałem oczy czarne
na białej twarzy Jadzi... /podpis/
Savo Panjković

W liście z 7.X.85 /mnie w tym dniu karetką pogotowia wywieziono do Kliniki Serca i Naczyń w Poznaniu/autor potwierdza odbiór moich przekładów i podziwia moją aktywność. Przytaczam jeden fragment "Pamiętam Twoją bibliotekę:w hitlerowskich Niemcach,w hitlerowskim gnieździe faszyzmu jeden Polak"P" organizuje polską bibliotekę. To jest cud nad cudami "

Wszystkie oryginały listów Sava Panjkowicia pisane do mnie, przesłałem wraz z moim tłumaczeniem do Muzeum Regionalnego w Barlinku. Zaś do niniejszych wspomnień, dołączam ich w copii. Jedynie ostatni list otrzymany od w/w z Jugosławii dołączam oryginał i moje tłumaczenie.

. . . . .

Dzięki troskliwej opiece władz wojewódzkich w Szczecinie jak: Delegatury Zespołów Spiewaczych i Instrumentalnych na czele ze Stanisławem Janickim, Wojew.Komisji Zw.Zawodowych z sekretarzem Zdzisławem Turkiewiczem i Wydziałem Kultury Woj.Rady Narodowej, barlinecki chór "Halka" miał możność wystąpienia najpierw w maju 1960 roku w sali zamkowej w Szczecinie z programem własnym a poźniej, w niedzielę 10 lipca 1962 zespoły chóralne pod sztandarem "HALKA", maszerowały ulicami miasta Szczecina i manifestowały swoją przynależność do Ziem Pomorza Zachodniego. Ta masowa impreza artystyczna odbyła się w Parku Kasprowicza przy bardzo słonecznej pogodzie. Chórami połączonymi dyrygował prof.Władysław Diering, a solistką z chóru "Halka" była Jadwiga Melerowicz z Barlinka. Całość prowadził Jerzy Pieńkow. Oto słowa prof.Dieringa Władysława, wpisane do dziennika zajęć chóru "HALKA", "Po wysłuchaniu waszej muzyki po mojej bezposredniej pracy z Wami mogę tyle powiedzieć, że z żalem wyjeżdzam, a uciechą wielką i bardzo miłymi wspomnieniami, że byłem, słuchałem i rozmawiałem z tak inteligentnym muzycznie chórem..." Wł.Diering.

Nie małym zaszczytem i wyróżnieniem dla barineckiego chóru było czynne uczestnictwo i udział w konkursie w Poznaniu w dniach 7 i 8 lipca 1962, gdzie zjechały wszystkie wyselekcjonowane chóry z całej Polski i chory polonijne z Niemiec. Ze Szczecina wystąpił chór "Hejnał" i "Halka" z Barlinka...

" LEĆ O PIEŚNI LEĆ SOKOŁEM - OJCZYŹNIE NASZEJ SŁUŻ !!!!"

. . . . . .

Współtowarzyszom niewoli niemieckiej w czasie II wojny swiatowej a po wyzwoleniu Ziem Pomorza Zachodniego wszystkim Tym, którzy mi pomogli działać na niwie kulturalo-oświatowej - zwłaszcza działaczom i członkom Koła Spiewaczego "HALNA" i Zespołu Teatralnego t e wspomnienia moje poświęcam.

Jan Tomaszewski

Jan Tomaszewski, Choszczno
ul. Wolności 6 B/9

Choszczno, 24.02.1987
42 rocznica wyzwolenia miasta

kopułami. Przy wkraczaniu do sioła ludność która nas z ukrycia dostrzegała kiwała głowami, jakby nam współczóła. Domki drewniane bardzo oryginalne ze zdobnymi okiennicamia w środku sioła stara dzwonnica, a dalej wielkie zabudowania murowane obwarowane wysokim murem i takąż samą bramą wjazdową, którą otwarto na nasze przybycie i w tym to klasztornym przybytku w/g mojej oceny rozlokowano nas na oddzielne soby, zależnie od ich wielkości. W naszym pokoju średniej wielkości ulokowało się ok. 70 chłopa, na pryczach pod sam sufit. Wszystko to musieliśmy wykonać we własnym zakresie i własnym sposobem zorganizować potrzebne materiały. Niektóre pokoje miały ozdobne sufity z rozetami i fryzami i wszędzie dostrzegało się piękno starego budownictwa. Niestety - szybko ulegały one niszczeniu przy naszym wkroczeniu i urządzaniu się. Warunki wyżywienia trudne i racje szczupłe np. na przegotowaną wodę trzeba było czekać godzinami w kolejce. Podobno jesteśmy tylko czasowo, bo mają dokonać wymiany jeńców z III rzeszą niemiecką. Istotnie tak się stało. Z końcem listopada, po uprzednim przeglądzie lekarskim "na oko" i odpowiedzi badanego na zadane pytania lekarskie, otrzymywało się kategorię "charaszo" - otrzymaliśmy ją prawie wszyscy. Na drugi, czy na trzeci dzień, przeprowadzono nas do innego pomieszczenia i tu przypadkowo spotkaliśmy się z artystami opery lwowskiej. Niestety - Tońcia i Szczepcia z lwowskiej fali ni widziałem. Jeden z nich jak się dowiedział, że jesteśmy z 3-ciego lotniczego z Poznania wyjął faje z kieszeni z dużym cybuchem i w jakiś tam tajemniczy sposób starł ją na kamieniu na "tytoń" i z gazety zrobił tak grubego papierosa /po poznańsku ljąta" że wszyscy, jak Indjanie, sztachaliśmy się po razie głęboko, do samego pępa... Przy tej indiańskiej sztafecie, wszyscy śpiewaliśmy patriotyczne pieśni na głosy, które koiły nasze przygnębienie, i mięszały się z kadzidłem dymu..

Wczesnym rankiem a raczej najpierw nocą staliśmy na dworze i byliśmy wywoływani w/g nazwisk. Trzeba było bardzo wnikliwie słuchać bo czytający "jąkał się" przy niektórych trudnych do odczytania nazwisk. Po jakimś czasie, gdy wszystko skompletowano, otwarto bramę gmachu i wypuszczono nas. Dziś, jeszcze widzę moimi oczyma, te długie kolumny maszerujące i przy świetle promieni wstającego słońca śpiewające na wojskowe głosy chyba najcudniejszą w świecie tę naszą, ludową pieśń: Rano, rano, raniuśieńko - rano po rosie, rano po rosie sie, sie... Wyganiała Kasia wołki rozwidniało się, sie sie sie... Rozwidniało sie Do domu idziem... do naszej Ojczyzny wracamy !!!! A kiedy przekraczaliśmy starą granicę wschodnią, łzy same kapały i ściekały po mundurze na wagonową podłogę - żeby się nie kurzyło... Ale pomijam sam fakt formalnej wymiany. Otóż w tym obustronnym porozumieniu stron: Związku Radzieckiego i III Rzeszy, wymieniono sobie jeńców: Zw. Radz. otrzymał zabranych przez Niemców Ukraińców, Białorusinów, Litwinów itp -